

“Błąd w Grze”

- Jest! Jest! - krzyknął z zadowoleniem Dan. - W końcu się udało!

Z dumą spojrzął na pole mocy. Wskazywało osiągnięcie nowej umiejętności.

Wygrał kolejną rozgrywkę w grze i uzyskał wystarczającą ilość mocy pozwalającą na materializację.

Dotychczas mógł prowadzić gry tylko poprzez zdalne sterowanie. Znał te wszystkie opowieści innych graczy o niesamowitych doznaniach przeżywanych podczas wchodzenia w ciało, myśli i odczucia bohatera misji. Teraz będzie mógł przetestować to osobiście.

- Zobaczmy. Co by tu wybrać – rozejrzął się w możliwościach wyboru.

Ukazały się setki dostępnych światów. Nie zastanawiał się jednak zbyt długo. Wybrał Ludzi. Nudziły go misje w światach maszyn, potworów i innych bezrozumnych, paskudnych mutantów. Zawsze wyjątkową przyjemność sprawiało mu granie w świecie Ludzi. Gra w ich świecie pełna była niespodziewanych zwrotów akcji. Dana pasjonowało to, że utworzeni byli na wzór i podobieństwo jego rasy. Strasznie prymitywni i niedopracowani, nieposiadający technologii ale jednak lubił nimi grać.

- Wybrałeś świat Ludzi. Wybierz z dostępnych misji – odezwał się system gry.

Dan rozejrzął się w możliwych opcjach. Wybrał małą poboczną misję.

- To będzie łatwizna – pomyślał – nie będzie innych graczy poza tamtymi istotami.

Mógłby wybrać dużą misję z obecnością innych grających ale było ryzyko. Jest niedoświadczony w materialnej grze. Mógłby stracić zbyt wiele mocy.

- Wybrałeś: świat ludzi, końcowa faza epoki drugiej rewolucji przemysłowej. Lokalizacja: prymitywna wieś w strefie klimatu ciepłego umiarkowanego, przejściowego. Zagroda rolna. Rodzina włościan zgłasza prośbę o pomoc w obronie przed atakiem. Wchodzisz?

- Oczywiście, że wchodzę.

- Dokonaj wyboru. Zdalne sterowanie czy materializacja?

- M a t e r i a l i z a c j a – powtórzył z zadowoleniem Dan .

- Materializacja dostępna. Materializujesz się pierwszy raz. Zaakceptuj regulamin.

Dan zaakceptował niewiele troszcząc się o zapoznanie z zasadami. Znał je już z opowiadań. Nie można tamtym istotom zdradzać swojego prawdziwego pochodzenia, przekazywać jakiegokolwiek wiedzy bez zgody systemu i takie tam.

- Wchodzisz. Trzy ... dwa ... jeden... zero...

Ciałem Dana wstrząsnął straszliwy skurcz. Pociemniało przed oczami. Zaciśnął szczęki zgrzytając zębami. Doznał uczucia tysiąca cienkich igiełek boleśnie

wbijających się w skórę. Miał wrażenie rozpadania się na drobne, pikselowe elementy. Osuwał się w bezdenną otchłań. Bez kontroli nad własnym ciałem. Wiedział, że materializacja jest nieprzyjemna ale to co się z nim działo było naprawdę, cholernie niekomfortowe. Ogarnął go irracjonalny, paniczny strach.

- Umieram? - Przeraziła go nagła myśl. Były wypadki śmiertelne. Sporadycznie ale jednak się zdarzały.

Skurcze ustąpiły. Odzyskał czucie ale nie był w swoim ciele. Silny zawrót głowy zmusił Dana do przykucnięcia. Dyszał. Serce waliło, wstrząsając od wewnątrz całym organizmem. Spojrzał na puls. Wskazanie: 205!

- Spokój. Spokój – wykrztusił – muszę się uspokoić.

- Materializacja w świecie Ludzi zakończona – oznajmił system – rozpoczynasz misję.

Trasa S8 z Białegostoku do Warszawy na odcinku pomiędzy Ostrowią Mazowiecką a Wyszkowem wiodła prostą, strzelistą wstęgą czarnego asfaltu. Zbudowana przez zaborców w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Kierując się typową rosyjską logiką planista narysował na mapie prostą linię a gubernator płocki wydał rozkaz: „Zdziałać”!

„No i paszli raborniki”. Z siekierami przez środek prastarego, dzikiego lasu. Wyrąbali drzewa. Przecięli jak mieczem bory Puszczy Białej, raniąc ją mającą nigdy się nie zagoić raną rozwijającej się cywilizacji. Droga wbiła się klinem w knieję. Osady ludzkie skryte dotąd w najdalszych ostępach, znalazły się w pobliżu głównego traktu na zawsze zmieniając swój charakter i zwyczaje żyjących tam mieszkańców.

Szosa białostocka, jak ją zwykli nazywać miejscowi, z początku służyła głównie zaborcom do wywozu rabunkowo pozyskiwanego drewna lub przemieszczania wojsk. Z czasem, traktem ruszyły dyliżanse pocztowe, wozy konne jadące „za handlem”, podróżni konno i pieszo. Potem droga coraz gorliwiej zaczęła służyć ludzkości i jej szalonej, niepowstrzymanej skłonności do przemieszczania się.

Pewnego dnia przejechał pierwszy automobil. Za kilka lat następny. Potem jeszcze jeden. Z czasem miejscowi przyzwyczaili się do widoku aut pędzących w tumanach kurzu i oparach śmierdzącego, czarnego dymu.

Przetaczające się tędy nawałnice, wojny z bolszewikami w 1920 roku, Pierwszej czy później Drugiej Wojny Światowej, nie zdołały zniszczyć i zahamować rozwoju trasy. Po każdej apokalipsie odbudowywano ją, wykładano brukiem, poszerzano, udoskonalano. Z czasem wylano jezdnię asfaltową. Jak duża rzeka tworzy dorzecze

zbierając wodę z mniejszych dopływów tak i z szosą białostocką drogi lokalne utworzyły sieć zasilając ją nieprzerwanym dopływem ruchu drogowego.

Obecnie, spokój jaki niegdyś panował, w dawnych puszczańskich wioskach, ukrytych w głębokich borach, od dawna już nie istnieje. Cisza w tym miejscu to nieustanny szum przejeżdżających pojazdów. W dwudziestym pierwszym wieku trasa nigdy nie zasypia. Nigdy nie cichnie a hałas we dnie i w nocy towarzyszy okolicznym mieszkańcom.

Patryk dołożył od siebie decybeli, wracając do Warszawy, z podróży służbowej. Przekazywał zatrudnionemu na jego miejsce, handlowcowi swój dawny rejon obejmujący tereny leżące od Olsztyna po Białystok. Żał mu było rozstawać się z klientami, z którymi zdążył się żyć a z niektórymi nawet zaprzyjaźnić, ale przecież awans jaki go spotkał to życiowa szansa. Naprawdę mocno starał się żeby go osiągnąć i w swoim rejonie miał bardzo dobre wyniki sprzedaży. Nie zrażało go nawet to, że koledzy ze studiów ironicznie odnosili się do branży, w której pracował i często robili mu głupie uwagi. Większość z nich ulokowała się w dużych korporacjach, bankach, sieciach handlowych ale żaden z tych głabów - jak ich nazywał - nie dochrapał się jeszcze takiego stanowiska jak Patryk. Pracował w biznesie akcesoriów obuwniczych. Branża dobra jak każda inna. Cóż z tego, że zajmuje się sprzedażą sznurowadeł, past, wkładek do butów oraz artykułów dla producentów obuwia? Mógłby sprzedawać nawet śmierdzące skarpety byle była kasa z tego. On wiedział jak osiągać świetne wyniki i firma prędzej czy później musiała go awansować. Nie przewidywał, że nastąpi to tak szybko i jeszcze przed trzydziestką będzie mógł cieszyć się z prestiżu bycia wicedyrektorem do spraw handlowych. Do tego dochodziła wysoka pensja i nowy samochód służbowy.

Jechał więc pan dyrektor, rozparty wygodnie w skórzanym fotelu, zadowolony z siebie i z pachnącego nowością auta. Dwulitrowy, stu dziewięćdziesiętkonny silnik przyjemnie szemrał pod maską i czule reagował na każde dociśnięcie pedału gazu. Patryk z łatwością wyprzedzał zastępy jadących z nieprzyzwoicie niską prędkością ciężarówek, samochodów dostawczych i osobowych. Irytowała go ich powolność. Jechał szybko mimo, że było ciemno. Zbliżała się północ. Droga była wąska, nierówna i zdecydowanie domagała się generalnego remontu. Nie były to jednak powody, dla których miał ograniczyć finezyjną a może nawet trochę brawurową jazdę.

Zagrała melodyjka telefonu. Spojrzał na ekran wyświetlacza - szefowa. Zdziwił się, że dzwoni o tak późnej porze.

- Tak, pani prezes?

- Patryku, wysłałam ci maila. Odczytałeś?

- Pani prezes. Wracam właśnie z Białegostoku. Jak tylko przyjadę do Warszawy od razu przeczytam.

- Patryku, wysłałam ci wytyczne odnośnie przyszłotygodniowych targów. Masz cały weekend żeby je przeanalizować. W poniedziałek rano odprawa. Bądź przygotowany.

- Pani prezes, ja zawsze jestem przygotowany choćby się paliło i waliło.

- Jedź ostrożnie. Dobranoc Patryku.

- Dobranoc... - nie zdążył dodać „pani prezes”. Rozłączyła się.

Zirytowało go to jej protekcyjnalne „Patryku”! Dlaczego zwraca się do niego jak do dziecka? Czemu nie tytułuje go służbowo - panie dyrektorze? Albo chociaż wice dyrektorze?

Westchnął z niechęcią. - Dodatkowo znowu te jej analizy i wytyczne!- Będzie musiał to wszystko przeczytać. Odkąd szefowa stwierdziła, że zostanie pisarką, zarzucała pracowników wielostronicowymi tomiszczami opracowań firmowych, zawierających elementy literackie. Zapowiada się stracony weekend a przecież chciał jeszcze dzisiaj ostro się zabawić. Planował zaprawić się z kumplami na Nowym Świecie w barze „Seta i Serweta”. Potem rajd po klubach. Obiecywał sobie wiele po dzisiejszej nocy. Później miał odsypiać całą sobotę a w niedzielę się regenerować. „No cóż, kumple urzną sami” - pomyślał.

Dodał gazu. Wyprzedził kolejną ciężarówkę. Trasa pustoszała, robiło się luźniej. Większość kierowców tirów zjeżdżała na parkingi na zasłużony odpoczynek. Zostały tylko niedobitki takie jak on, pragnące jak najszybciej dojechać do miejsca przeznaczenia.

Samochód gładko sunął z szumem kół po asfalcie. Patryk spojrzął na ekran nawigacji. Do Warszawy zostało osiemdziesiąt kilometrów. Nie więcej jak godzina jazdy. Minął przesuwaną się po obu stronach ciemną ścianę lasu i wyjechał na otwarty teren. Zerknął na tablicę z nazwą miejscowości “Pilaszewo”. Po lewej stronie mignęła mu, rozświetlona stacja benzynowa. Na terenie zabudowanym obowiązuje ograniczenie prędkości ale ani myślał się do niego stosować. Nie on. Uśmiechnął się. Mijając skrzyżowanie zerknął w prawą stronę w kierunku niepozornej białej budki smażalni ryb. Patryk znał ten lokal. Czasami do niego

zajeżdżał na wyśmienite dania rybne. Szczególnie upodobał sobie gulasz z sumą będący specjalnością tej wiejskiej restauracji o niepokojącej nazwie „Rak”. Gulasz był zawsze świeży, pełen delikatnych, pożywnych kęsów gotowanej ryby, pływających w pysznym pomidorowym sosie, wzbogaconym chrupiącymi kawałkami papryki. Chętnie zjadłby takie danie i teraz ale bar był już nieczynny. Poza tym spieszył się. Spojrzał na jezdnię i zobaczył, że wjeżdża w gęsty, puszysty tuman białej mgły. Mgła ogarnęła, samochód i opływała go mlecznymi pasmami. Widoczność spadła do zaledwie kilkunastu metrów. Przed samochodem, w ciemności nocy, majaczyło tylko trójkątne, świetliste pasmo utworzone ze świateł drogowych. Patryk chciał włączyć reflektory przeciwmgłowe lecz w nowym samochodzie nie miał jeszcze wypracowanych odruchowych nawyków. Spojrzał na przełączniki rozmieszczone na podświetlonej desce rozdzielczej. W tym momencie spod kół uciekło stabilne podłoże asfaltu. Rozpędzony samochód wjechał na wyboje, podskakując i kołysząc się niemiłosiernie. Zdjął nogę z gazu i wcisnął z impetem pedał hamulca. Było jednak za późno na hamowanie. Samochód zjechał z drogi i z trzaskiem przetoczył się przez krzaki, rozrywając i łamiąc gałęzie. Pojazd z wyciem silnika zarył przodem w miękkie podłoże, odbił się i zaczął koziółkować. Patryk uświadomił sobie, że wiruje wraz z całą kabiną. Różne przedmioty latały wokół niego.

- Boże! Umrę!- przeraziła go nagła myśl.

Samochód skończył szalony taniec i zatrzymał się na dachu. Patryk znalazł się w niewygodnej pozycji, zsuwając się głową na podsufitkę. Pas bezpieczeństwa krępował mu ruchy. Przed twarzą miał białą płachtę poduszki powietrznej. Targnął nim błyskawiczny, instynktowny odruch konieczności jak najszybszego wydostania się z zamkniętej, blaszanej puszki samochodu. Wypiął się z pasów i z trudnością wygramolił z pojazdu przez otwór po przedniej szybie, która wypadła podczas dachowania. Odbiegł kilka metrów ale drżące, odmawiające posłuszeństwa nogi zmusiły go do przykucnięcia. Kręciło mu się w głowie. Oddychał ciężko. Dygotał. Serce mu tłukło tak silnie jakby ktoś wewnątrz walił w wielki bęben. Trzęsącymi się dłońmi przesunął po twarzy. Przyjrzał się im odruchowo. Nie zauważył śladów krwi.

Minęło trochę czasu zanim wstał i sprawdził czy nic mu się nie stało. Uznał, że jest cały i nie ma widocznych obrażeń. Nocny chłód czerwcowego powietrza nieco go orzeźwił.

- Żyję - uznał z ulgą. - Dzięki ci Boże! Żyję!

Spojrzał na samochód leżący na dachu, groteskowo wznoszący do góry krótkie nóżki gumowych opon. Pojazd wyglądał jak wielki żółw, który nie może się podnieść leżąc na swojej skorupie. Auto nie prezentowało się już tak dobrze jak jeszcze

minutę temu. Miało pogniecioną karoserię i potłuczone szyby. Oczami reflektorów smętnie świeciło w ciemną noc.

- No nie! Co ja zrobiłem?! Przez tą mgłę!

Stał bezradnie przed samochodem. Wpatrywał się tępo w rozbitą wrak. Próbował się uspokoić. Dłuższą chwilę zajęło mu nim zdołał pozbierać myśli. Przede wszystkim musi zadbać o siebie. Zadzwoić po pomoc. Może po karetkę. Pomyślał, że dobrze byłoby gdyby zbadał go lekarz. Konieczne może być prześwietlenie rentgenowskie. Sięgnął do kieszeni po telefon ale go tam nie znalazł.

- W samochodzie. - Przypomniał sobie, że telefonu używał podczas jazdy mając otwartą aplikację ostrzegającą przed fotoradarami i patrolami policyjnymi.

Po krótkich poszukiwaniach wydobył go z kabiny. Wprowadził na wyświetlaczu numer alarmowy i nacisnął symbol zielonej słuchawki. W odpowiedzi usłyszał tylko trzy krótkie piknięcia. Nawiązanie połączenia było niemożliwe.

- Brak zasięgu! No nie! Jeszcze tego brakowało! - Zirytowany Patryk uniósł telefon w wyciągniętej ręce. Nic. Wskaźnik zasięgu był nieubłagany. Patryk przez pewien czas skupił się na walce z odmawiającym posłuszeństwa telefonem. Wyłączał go i włączał. Wyjmował baterię. Wkładał z powrotem. Wszystko na nic. Zdał sobie sprawę z tego, że znajduje się poza zasięgiem sygnału telefonii komórkowej.

Ruszył w stronę wykoszonych przez samochód krzaków. Przeszedł przez zarośla i wydostał na ulicę. Postanowił zatrzymać jakiś samochód. Poprosić o pomoc. Piaszczysta droga, na którą wyszedł, niczym nie przypominała ruchliwej trasy S8. Nie nadjeżdżał żaden samochód. W ogóle w okolicy nie słychać było dźwięku choćby trochę przypominającego przejeżdżające pojazdy. Po gęstej mgle, którą uważał za przyczynę swojego nieszczęścia, nie było nawet śladu. Księżyc świecił jasno. Niebo było przejrzyste, pobłyskiwało miliardami gwiazd.

- Tak szybko się wypogodziło? Gdzie się podziała ta cholerna mgła? -

Rozglądał się z narastającym niepokojem. Ruszył wzdłuż śladów pozostawionych przez samochód. Biegł przez kilka minut w stronę mijanej jeszcze niedawno stacji benzynowej. Miał nadzieję znaleźć tam pomoc. Nie napotkał jednak ani smażalni ryb ani stacji ani żadnych innych zabudowań. Ślady opon urywały się na granicy lasu. Dalej był już tylko ciemny, potężny bór z niewyraźnie majaczącą linią piaszczystej drogi. Kilkakrotnie w popłochu przemierzał odcinek pomiędzy miejscem wypadku a

ścianą lasu, bezskutecznie szukając śladów jakiegokolwiek cywilizacji. Wzbierająca, gorąca fala paniki paliła go.

- Co tu się dzieje? gdzie ja jestem? Gdzie ulica?

Natłok myśli kłębił się w jego głowie. Zatrzymał się zrezygnowany. Stał bezradnie na środku drogi. Księżyc oświetlał postać Patryka. Wysoki barczysty. Dobrze zbudowany. Ubrany w białą koszulę, spodnie od garnituru i czarne pantofle. Młody, ambitny japiszon. Mieszczuch. Wyglądał teraz jak klaun, który wyszedł na arenę cyrku do swojego popisowego numeru i ze zdumieniem stwierdził, że wszystkie miejsca na widowni są puste. Był sam pośród nocy. W nieznanym miejscu. Pozbawiony łączności telefonicznej. Zupełną ciszę mącił tylko delikatny szum lasu.

Bezwiednie zapatrzył się w gwiazdy. Mrugające światełka docierające do Ziemi z zamierzchłej przeszłości. Stał tak przez pewien czas. Oddychał głęboko regulując oddech. Ćwiczenie ze sztuk walki - pomyślał. Uspokajał się. Przypomniało mu się jak w dzieciństwie, podczas ciepłych, letnich nocy, kładli się z ojcem na leżakach rozstawionych w ogrodzie i wpatrywali w rozgwieżdżone niebo. Myślał wtedy o tym czy gdzieś tam, wśród gwiazd, są zamieszkałe planety. Wyobrażał sobie postacie z obcych cywilizacji. Marzył, że kiedyś zostanie astronautą. Odkrywcą nowych światów. Pamiętał jak Ojciec przekonywał go, że ludzkość jest jedyną rozumną cywilizacją we wszechświecie a wszelkie inne formy życia egzystujące w kosmosie mogą być jedynie zwykłymi robalami czy też potworami nie posiadającymi inteligencji na poziomie, który pozwalałby się z nimi porozumieć. Mogły być po prostu bezmózgimi stworzeniami tak jak mrówki lub dżdżownice. Patryk się z tym nie zgadzał. To byłoby zbyt straszne. Uważał, że ludzkość i tak jest przerażająco samotna, odcięta od kontaktu z innymi cywilizacjami. Zmuszona do życia tylko i wyłącznie w towarzystwie osobników własnego gatunku.

Nagle Patryk uświadomił sobie, że od pewnego czasu, dochodzi gdzieś od strony lasu, ujadanie psa. Ucieszył się na myśl, że skoro jest pies to muszą być też i ludzie. Zapewne jest tam zamieszkały dom lub jakaś leśniczówka, w której znajdzie pomoc. Oświetlając sobie drogę latarką z telefonu, ruszył tam skąd dobiegało szczekanie. Skręcił w las, w wąski, leśny dukt. Biegł spoglądając w stronę drzew. Dęby przybierały przerażające węzowate kształty. Światło latarki przesuwał się, po korze potężnych sosen, wydobywało wizerunki jakby szyderczo uśmiechniętych, złośliwych twarzy leśnych gnomów. Patryk pierwszy raz znalazł się sam w nocy w lesie. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Przyspieszył. Szczekanie było coraz bliżej.

Gdy dotarł na skraj lasu, w odległości kilkuset metrów przed nim, na otwartej przestrzeni pól, błysnęło jasne, niebieskie światło i zaraz zgasło. W gasnącym blasku zdążył jeszcze zauważyć kontury zabudowań i postać człowieka.

- Hej! - Patryk próbował krzyknąć ale zabrzmiało to słabo. Odchrząknął.

Dan dotknął podłoża. Wyczuł wilgotną glebę. Nabrał w dłoń piasku. Szorstki. Wilgotny. Brudzący. Wysypał piach na ziemię. Na dłoni zostały przyklepione ziarenka. Otrzeptał je. Wytał o odzież.

Było już po zmierzchu. Ciemno. Brak jakiegokolwiek oświetlenia ulicznego. Miło pachniało miejscową roślinnością. Szczególnie intensywny zapach spływał z ciemnej plamy dużego krzewu, usianego obficie białym kwiatostanem. Sprawdził w systemie co to za roślina.

- Jaśminowiec wonny – gatunek krzewu z rodziny hortensjowatych.

Z zagrody, okolonej płotem z plecionych leszczynowych patyków, ostro ujął pies domowy. Zgodnie ze wskazaniem kierunku misji wszedł na podwórko.

Przy drodze skierowana do niej szczytem stała niewielka drewniana chałupa. W głębi podwórka uformowanego w kształcie prostokąta majaczyły w ciemności zabudowania. Duża stodoła, stajnia i obora, w której system wskazywał obecność konia i dwóch krów. Po drugiej stronie chlew z trzema świniami, drwalnia i "spichrz" gdzie trzymano gotowe ziarno. Budynek tak samo jak dom były drewniane. Dachy kryte słomianymi snopkami. Na środku obejścia znajdowała się studnia z korytem do pojenia bydła.

Z chałupy dobiegały przytłumione odgłosy awantury. Brzmiały basy mężczyzn i piskliwy damski krzyk. Podszedł bliżej.

Dom zbudowany z drewnianych bali pachniał żywicą. Wyglądał na nowy. Dan sprawdził w systemie wymiary i rozkład pomieszczeń. Długość: 9 metrów, szerokość 6 metrów, wysokość wewnątrz 2,5 metra. Trzy izby. Za drzwiami wejściowymi sieni. Dalej na wprost mała izdebka z jednym oknem, po lewej duża izba z dwoma oknami. Wewnątrz dużej izby siedem osób. Trzy zaznaczone na czerwono - wrogie, cztery na zielono - przyjacielskie.

Czuł się nieswojo. Niepewnie. Wziął głęboki wdech. Pachnące wiejskie i świeże powietrze zadziało uspokajająco. Przeciągly wydech.

- To trema – pomyślał – będzie dobrze. Wchodzę.

Pchnął niedomknięte drzwi, które lekko ustąpiły z cichym skrzypnięciem. Wszedł do sieni. Po lewej stronie miał drzwi do dużej izby. Ujął chłodną stal klamki. Cofnął dłoń.

Pomyślał, że przecież nie będzie wchodził grzecznie. Zrobi to spektakularnie. Zużyje więcej mocy ale z trzema agresorami da sobie radę bez problemu i jeszcze mi zostanie zapas.

Cofnął się i z impetem kopnął drzwi. Silne uderzenie wyrwało je z zawiasów. Z głośnym trzaskiem łamanych desek resztki drzwi wyleciały do izby

Patryk dotarł do posesji zabudowanej nowym domem z bali drewnianych.

- Ktoś tu sobie zbudował ładny dom letniskowy - mruknął z podziwem.

Wchodząc na podwórko minął intensywnie pachnący krzew jaśminowca. Z domu dobiegały stłumione krzyki i hałasy przewracanych sprzętów.

- Trafiłem na imprezę? - Patryk mruknął do siebie i podszedł do okna.

Zajrzał do słabo oświetlonego wnętrza. W niewielkim, rustykalnie urządzonej pokoju zauważył kilka osób. Na podstawie ich wyglądu, doszedł do wniosku, że ubrali się jak na bal przebierańców. Trzej mężczyźni przebrani byli po chłopsku w długie, białe koszule przepasane sznurem. Następni trzej mieli na sobie staromodne mundury, których Patryk nie potrafił przypisać do żadnej znanej mu formacji wojskowej. „Być może uczestnicy rekonstrukcji jakiejś bitwy umówili się na wieczorną imprezę” pomyślał. Balanga musiała potoczyć się w zdecydowanie złym kierunku, ponieważ trwała tam bójka. W rogu pokoju koło pieca siedziała dziewczyna z długim warkoczem i głośno piszczała zasłaniając twarz dłońmi. W tym czasie mundurowi tłukli tych przebranych za chłopów. Dwóch osiłków, odwróconych tyłem do Patryka, szarpało chłopca. Trzeci okopywał ciężkimi buciorami dwóch młodzieńców leżących na podłodze. Raz jednego raz drugiego.

Wtem, do pomieszczenia wpadły wyważone z zewnątrz drzwi. Ktoś wyłamał je z dużą siłą. W progu stanął olbrzymi brodacz z długimi, brudnymi, skołtunionymi włosami. Szeroki w barach, potężny. Z puciołowatą twarzą pocziwca. Podobnie, dziwacznie przebrany jak reszta „imprezowiczów”. Nosił długi do kolan, rozpięty płaszcz. Jasna, Iniana koszula uwydatniała potężny tors i krągły brzusek. Miał na sobie wyświechtane spodnie. Wszystkie ubrania na nim były jakieś brudne, stare, znoszone. Sprawiał wrażenie żebraka. Do skórzanego paska przytroczony miał blaszany garnuszek. Cały ten anturaż uzupełniał brudny wór przewieszony na sznurku przez prawe ramię. Olbrzym był na bosaka. „To ten sam którego widziałem z oddali jak wchodził na podwórko” pomyślał Patryk. „Dziad” - nazwał go w myślach.

- CO TU SIĘ WYRABIA!? - Olbrzym ryknął jak lew, potężnym donośnym basem i natychmiast rzucił jakimś przedmiotem, trafiając w głowę tego w mundurze, który wcześniej kopał leżących. Patryk zamarł z przerażenia bo nagle wydało mu się, że olbrzym w jakiś sposób zauważył jego obecność. Ogarnął go irracjonalny strach. Zdrętwiał. Czuł że nie może się ruszyć,

niewidzialna siła przytrzymała go. Zdumiony patrzył na rozgrywające się dalej wypadki.

Dan przez chwilę podziwiał efekt swojego wejścia. Według niego był naprawdę fantastyczny. Z lubością spojrział na zbaraniałe z zaskoczenia postacie. Chwycił, stojący przy drzwiach, drewniany cebrzyk i rzucił w jednego z napastników trafiając go prosto w czoło. Mignęła mu zdziwiona i przerażona mina unieszkodliwionego osobnika, który potoczył się w kąt izby. Z rozbitego czoła trysnęła krew.

Dan poprzez system gry zanalizował sytuację. Dwie postacie zaznaczone zielonym kolorem leżały na podłodze. Pokonane przez czerwonych ale żywe. W kącie skulona na stołku siedzi podświetlona na zielono kobieta. W centralnej części izby dwóch facetów podświetlonych na czerwono jako wrogowie stało nadal przytrzymując jednego zielonego. Trzeci czerwony leży. Zneutralizowany. Na zewnątrz za oknem stała jeszcze jedna postać mężczyzny podświetlonego na zielono. Dan zanalizował jego parametry i ustawił jako pomocnika zaznaczając go w systemie pomarańczowym podświetleniem.

Dan podbiegł do wrogich przebywających w izbie. Chwycił jednego i z dużą siłą rzucił o ścianę. Zauważył że zneutralizował go gdyż system gry podświetlił postać na czarno. Trzeci z napastników widząc co się dzieje wyskoczył przez okno z brzękiem tłuczonego szkła. Dan uruchomił w systemie gry stojącą za oknem postać, którą złapał uciekiniera i kilkakrotnie rzucając o ziemię skutecznie zneutralizował.

Mężczyzna zaczerpnął wody do kwarty z wiadra stojącego przy palenisku, następnie nabnął jej do ust, wypluł na podstawione dłonie i splukał twarz, głośno prychając. Wytarł rękawem koszuli.

- Z tamtymi zrobiliśmy porządek - powiedział do stojącej obok dziewczyny. - Już ich nie znajdują. Dawaj! - Dziewczyna podała ojcu pokaźny tobołek owinięty lnianym płótnem.

W czasie kiedy ojciec z jej bratem Michałem i parobkiem Jakóbkiem wywieźli tamtych na bagna, ona przygotowała prowiant. Kiszona słonina, kiełbasa, boczek wędzony, kilkanaście cebul i kilka bochenków chleba. Powinno na razie wystarczyć dla trzech mężczyzn.

- Pamiętaj. Jakby się pytali o nas to jesteśmy od wczoraj od rana w łąkach nad Bugiem. Pojechaliśmy na sianokosy. - Wziął z jej rąk tobołek. - A ten tu? Nie ocknął się jeszcze?

- A gdzie tam? Śpi jak zabity. Majaczył tylko i gadał coś przez sen.

Spojrzeni na łóżko i śpiącego tam Patryka. Spod potarganych, włosów na kształtne, szlachetne czoło spływały mu strużki potu. Młoda delikatna twarz z zamkniętymi oczami sprawiała wrażenie anielskiej niewinności. Natomiast mocna szczęka i zarysowany podbródek nadawały mu powagi i męskości. Ogromna góra pękatej pierzyny unosiła się i opadała wraz z przyspieszonym oddechem Patryka.

- Dziwny jakiś. Ale go ten olbrzymi dziad uśpił. Jak się obudzi zajmij się nim. Możesz go nakarmić a potem niech wraca skąd przyszedł. - powiedział chłop do swej córki. Dziewczyna spojrzała z lekką trwogą na śpiącego. - Nie bój się, stanął w naszej obronie. Nie zrobi ci nic złego. No, dobra, jedziemy zanim się rozwidni - powiedział i wyszedł z izby.

Julianna wybiegła za nim na dwór. Ojciec wsiadł na zaprzęgnięty i gotowy do jazdy wóz. Usiadł obok syna na desce rozłożonej w poprzek drabiniastych burt wozu. Z tyłu siedział wyrobnik Jakóbek od Koców wesoło wymachując spuszczone z wozu nogami. Pomachał dłonią na pożegnanie. Odjechali.

Julianna wróciła do domu. Rozejrzała się po izbie sprawdzając czy wszystko jest w odpowiednim porządku. Wyszorowana podłoga przedstawiała się wzorowo. Po wczorajszej walce nie było już nawet najmniejszego śladu krwi. Zmęczona, po nieprzespanej nocy położyła się w drugim łóżku. Świadoma zbliżającego się dnia nawet nie rozbierała się.

...

Patryk otworzył oczy, mlasnął. Rozejrzał się po niewielkiej izbie zalanej mocnym słonecznym światłem. Obok prymitywnego, glinianego pieca krzątała się młoda kobieta. Patrzył jak nabiera z garnka do kwarty gorącej wody i nalewa do klepkowej miski. Dziewczyna dołała zimnej wody. Zamieszała ręką. Wprawnymi ruchami przemyła szczupłe, ładnie zbudowane, mocne ramiona, potem twarz. Patryk zwrócił uwagę na wijący się, po białej koszuli pleców, czarny warkocz, zakończony pędzelkowatym kosmykiem. „Dziewczyna z warkoczem” pomyślał. Powoli zaczął kojarzyć i przypominać sobie wczorajszą bójkę odbywającą się w tej chacie. Bójka, nocny marsz przez ciemny las, wypadek samochodowy, mgła. Powoli, przewijały się w pamięci wydarzenia poprzedniego wieczoru. „Ale co ja robię w tym cuchnącym łóżku? Pomyślał unosząc się na łokciach.

Patryk już miał się odezwać kiedy do izby wszedł niewysoki, bosy facet, przebrany dziwacznie w chłopską koszulę i przykrótkie lniane portki.

- Ało, Julcia! - zawołał. - A łojciec gdzie? W obrządku?

- Nie! Ja oporządziłam. Ojciec z Michałem i Jakóbką pojechali wczoraj w łąki.

- O to niedobrze bo chciałem ciebie i Michała po sąsiedzku prosić na chrzestnych. Syn nam się urodził w nocy!

- Oj! Już się urodziło!? - zawołała uradowana dziewczyna. - Wcześniej mnie Marcysia prosiła na chrzestną. Nawet mam koszulkę uszytą.

- Na świadków pójdzie Józef Równy i Józek Krajzów, ale kogo ja na chrzestnego wezmę jak prawie cała wieś w lesie? - zafrasował się młody ojciec. - A to kto? - spytał zauważwszy Patryka wyglądającego zza wielkiej pierzyny. - Dzień dobry! - zbliżył się do Patryka. - Może ty pójdziesz na świadka? Nie odmówisz chrześcijańskiego obowiązku? - zachęcał ośupiałego Patryka.

- Oj na pewno się zgodzi. Zjemy coś i zaraz do was przejdziemy. Leć Janek do domu! Zaprzęgaj wóz a my niedługo przyjdziemy. - Niemal wypchnęła Janka z domu.

Spojrzała na Patryka niepewnie się uśmiechając.

- Już się obudził? - spytała.

- Kto? - Patryk jeszcze raz się rozejrzył po izbie ale nikogo więcej nie zauważył.

- No, on. - pokazała palcem na Patryka.

Patryk nic nie odpowiedział. Wstał z łóżka. Nadal był w swoim ubraniu, w spodniach od garnituru i koszuli. Na nogach miał pantofle, których nie zdjął na noc.

- To jakiś skansen? - spytał. - Gdzie ja jestem? Miałem wczoraj wypadek. Rozbiłem samochód. Można od was wezwać pomoc drogową? Macie tutaj zasięg? - zasypał Juliannę pytaniami. Wyjął z kieszeni telefon. Spojrzał na ekran. Niestety nadal wyświetlał się komunikat „brak sieci”.

- A może jest tu telefon stacjonarny? - spytał z nadzieją w głosie.

Dziewczyna zaśmiała się. Zerknęła ze zdziwieniem na trzymany przez Patryka telefon.

- Niejakiego tam stacjonarny my nie mamy. Niech idzie się umyć a ja zrobię coś do jedzenia. - Zachęciła wskazując na miskę z wodą, w której nie tak dawno sama się umyła.

- A co to za bitwa tu wczoraj była? - Co oni się tak napażali? - spytał Patryk wspominając wczorajszą walkę. - Jak to się skończyło? Nic nie pamiętam. Dlaczego ja tu nocowałem?

- A to normalnie! Jak to chłopcy! Po wódce to tak zawsze! - zaśmiała się zatajając prawdę. Przywołała w myślach obraz, zmasakrowanych przez nieznajomego olbrzyma, zwłok Kozaków, które potem zostały wywiezione na

bagna. Skąd się pojawił i kim był ten wielki facet, który uratował ich od napaści pijanych żołdaków? - A jego to ten olbrzym rzucił na ziemię i on usnął - powiedziała wskazując na Patryka.

- Tego nie pamiętam. Macie tu mydło? - spytał podchodząc do miski.- Chciałbym się umyć.

- Mydło? A co to jest jest?

- Dobra weź nie udawaj! Może się bawicie w jakichś prasłowian, ale do cholery chyba się myjecie czasem?

- A myjemy się, myjemy. Ługiem się czasem myjemy. Przynieść?

- Dawaj!

Pobiegła do komory. Po chwili przyniosła dużą kostkę szarobrazowej stwardniałej masy. Podała mu z uśmiechem. Wziął do ręki.

- Co to jest? Jakieś mydło z bagien borowinowych? Nie masz normalnego? - powąchał niepewnie kostkę.

- To nie jest nijakie mydło. To ług.

- Co znowu za ług? Nie mów mi tylko, że sami to robicie z jakiegoś szitu?

- Nie to nie z szitu. Robi się to z popiołu spalonych gałęzi łąkowych. Olszyny, brzozy, leszczyny. Czasem dodaje się tłuszczu. Rok temu zdechła świnia to wytopiliśmy tłuszczu i dodaliśmy do ługu.

- Dobra, już ty lepiej mi nie mów z czego to robicie. - "Co za świrusy?" pomyślał. - To jakaś wioska eksperymentalna? Co to za projekt? - zapytał próbując namydlić ręce. - Dostaliście dotacje z Unii Europejskiej?

Zaśmiała się niepewnie, przyglądając się nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Co to jest?! - krzyknął nagle. - Ale smród! O fak! - Poczł intensywną, przykrą woń wydobywającą się z namoczonej kostki ługu. Rzucił ją z obrzydzeniem do miski. - Zapach łajna połączonego z ...łajnem!

Teraz już śmiała się w głos, trzymając w dłoniach płachtę kolorowego fartucha. Zasłaniała nim usta.

- No i czego rżysz głupia? Specjalnie mi to dałaś żebym sobie zasmrodził ręce! Ale mnie wkręciłaś. - Patrzył na zanoszącą się zdrowym, zaraźliwym śmiechem dziewczynę.

Zęby Miała ładne. Duże oczy. Szczere, wesole. Gładką, nieco śniadą cerę. Nie była piękną ale była ładna. Ciepła i sympatyczna. Złość powoli mu przechodziła. Uświadomił sobie komizm całej tej sytuacji. Podeszedł do niej. Jedną ręką objął ją za plecami. Druga zbliżył do jej twarzy. Dłonią dotknął policzka. Poczł przyjemne ciepło, miękkiej i gładkiej –skóry. Poczł dreszczyk bliskości. Ich spojrzenia się spotkały. Patrzyli sobie prosto w oczy. Wytrzymał ten wzrok. Ona też.

Niesforne kosmyki jej czarnych, włosów opadały na kształtne, ładne płatki uszu. Nie odwracając wzroku przysunęła nos do jego dłoni. Mocno wciągnęła powietrze udając, że napawa się zapachem. Wybuchnęła gromkim śmiechem, wyrwała się z objęcia i wybiegła z izby. Słyszał jej wesole śmiech dochodzący z dworu.

- Wariatka - mruknął kręcąc głową z uśmiechem.

Patryk umył się na tyle na ile to było możliwe w tak prymitywnych warunkach. nie używał już "mydła" z ługu. Z tęsknotą pomyślał o walizce pozostawionej w rozbitym samochodzie. Najbardziej pragnąłby się teraz dobrać do kosmetyczki ze szczoteczką i pastą do zębów.

Dziewczyna wróciła. Postawiła na niewysokiej ławie, kwartę z mlekiem. Zaczęła się krzątać przygotowując śniadanie. Patryk usiadł na niskim stołku. Trochę się zdziwił, że nie jadają tu przy normalnym stole, ale skoro to jakiś skansen to może takie panują zasady. Jadł ze smakiem. Od wczoraj nie miał nic w ustach. Śniadanie było proste. Chleb razowy, twaróg, mleko, miód. Wszystko to świeże, wiejskie i wyjątkowo smaczne.

- Gdzie kupiliście taki pyszny chleb?

Znowu spojrzała na niego ze zdziwieniem, jak na wariata.

- Sami pieczemy.

- Tak? Super. Moi znajomi też sami pieką chleb ale im taki dobry nie wychodzi. Mają termomix. Cudowne urządzenie, które piecze, gotuje, paruje. Nawet lody i ciasta można w nim robić. Tyle, że to wszystko jednakowo smakuje.

- A ty skąd bierzesz chleb?

- Normalnie, ze sklepu. Co się głupio pytasz? Ale ja przeważnie kupuję krojony.

„Boże, zwariował” pomyślała. Na pewno tamten olbrzym uderzył go w głowę i coś mu się pomieszało. Kto to słyszał w sklepie chleb kupować i to na dodatek krojony. Pokiwała z politowaniem głową. Wydał się jej bardzo ładny, postawny i taki wesole. Podziwiała go jak jadł ze smakiem, po męsku, łapczywie. Mleko którego pociągnął duży łyk pozostawiło mu śmieszny ślad białych wąsów nad górną wargą. Żal jej się go zrobiło. Taki ładny a zgłupiał.

- Jak masz na imię? - spytał.

- Julianna.

- O! Julianna! Ładnie! Po francusku Żulienna.

- A ty?

- Patryk.

- Jak? Patyk?

- Nie patyk tylko Patryk - obruszył się wyraźnie akcentując w swoim imieniu literę „r”.

- Patryk? Nigdy nie słyszałam o takim imieniu. Chodźmy już. Obiecałam Badurkom, że pojedziemy z nimi do kościoła do miasta. Musimy ochrzcić dziecko.

- Do miasta? Super. Załatwię sobie pomoc drogową - wstał z gotowością do wyjścia. - Dziękuję za pyszne śniadanie. Jakie to miasto?

- Brok.

Julianna zdjęła codzienny fartuch i założyła drugi, tyle że czysty i odświętny, z wzorem w pionowe, kolorowe pasy. Na głowie zawiązała wzorzystą chustę. Wyszli z chałupy. Julianna poprowadziła szybkim krokiem, prawie biegiem. Była na bosaka. Patryk podążył za nią. Przed domem Badurków czekał już zaprzężony wóz drabiniasty o drewnianych kołach. Przy wozie stał Janek i jakichś dwóch mężczyzn. Ubrani z chłopska. Wszyscy mimo gorącego czerwcowego dnia obuci byli w wysokie buty z cholewami przypominające oficerki.

- Julisia! - zawołał Badurek zwracając się do Julianny. - Leć do chałupy i przynieś dzieciaka. Marcysia już go przygotowała.

- Jest nasz świadek. Prosimy, prosimy na jednego. - Jan Badurek wyjął z wozu blaszaną bańkę, napełnił kubek i podał Patrykowi. - Za zdrowie mojego syna.

- Nie. Nie, dziękuję bardzo ale być może będę jeszcze dzisiaj prowadził. Poza tym miałem wczoraj wypadek samochodowy i policja może mnie badać alkometrem. Muszę być trzeźwy.

Badurek otworzył usta i wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Pozostali dwaj mężczyźni, jeden starszy z sumiastymi wąsami i drugi młodszy, brunet spojrzeli po sobie.

- Janek! Coś ty za świadka wytrzasnął? - zaśmiał się starszy. - Coś pan? - zwrócił się do Patryka. - Chcesz żeby dzieciak pomarł? Albo żeby chorował?

Zaczęli go namawiać do picia przekrzykując się nawzajem. Na wszelkie sposoby argumentowali konieczność wypicia za zdrowie dziecka.

- Dobra, dobra. Panowie. Jeśli dziecko ma umrzeć to już wypiję - Wziął kubek. Zrobił głęboki wdech i wprawnie wychylił całą zawartość kubka. Bimber! Bardzo mocny! Wypuścił powietrze krzywiąc się. Poczzerwieniał.

- Na zakąskę. - Wąsiasty odkroił nożykiem kawałeczek słoniny i podał Patrykowi. Nim ten zdążył zjeść podali mu już następny kubek bimbrowy. Patryk spojrział na nich z wyrzutem ale żeby uniknąć dalszego namawiania od razu wypił.

- Dobry bimberek - Pochwalił ochryłym głosem. Przyjemne ciepło rozeszło mu się po całym ciele.

Badurek i jego kompani wypili jeszcze po jednym kubku bimbrowy. Potem wszyscy usadowili się na wozie. Przyszła Julianna tuląc do piersi niewielkie zawiniątko. Podała Patrykowi.

- Potrzyj go. - Patryk wziął zawiniątko. Było lekkie. W lnianą szmatkę zawinięto noworodka. Bardzo, bardzo małego. Główka dziecka była nie większa od jego pięści. Czerwona twarzyczka wykrzywiona była w dziwnym grymasiku. Patryk zdziwił się, że dziecko może być aż tak małe. Julianna wprawnie wskoczyła na wóz, usiadła obok i odebrała chłopczyka.

- Kiedy się urodziło? - spytał.

- Wczoraj o ósmej wieczorem.

- Co?! Zwariowaliście? Kto to słyszał żeby z takim małym dzieciakiem biegać po dworcu? Przecież może zachorować. Moja siostra jak urodziła to przez dwa tygodnie nikt nie mógł przyjść w odwiedziny, już nie mówiąc o tym żeby je obnosić po mieście.

- Chrzci się nazajutrz po urodzeniu żeby „diabeł” w nie nie wstąpił - odpowiedziała Julianna.

Przebycie drogi do Broku zajęło im około godziny. Przejechali przez Pilaszewo, minęli składającą się z kilku domostw Durkę. Później droga wiodła już przez gęsty las. W czasie podróży mężczyźni rozmawiali na temat plonów, sianokosów oraz omawiali szczegóły wykonywania prac inwentarskich. Przepijali do siebie i co jakiś czas podawali Patrykowi kubek z bimbrem. Dziecko niekiedy wydawało „mysie” piski. Julianna uspokajająco tuliła je i nuciła cichutko jakieś nieznane pieśni ludowe. Patrykowi coraz bardziej szumiało w głowie i robiło się błogo. Postanowił już więcej nie pić gdyż obawiał że się upije zanim dotrą do kościoła. Podziwiając piękną okolicę rozmyślał o tym, jak nieodpowiedzialni są ludzie ze skansenu. Nie dość, że pijani powożą to jeszcze narażają noworodka, który i tak miał szczęście, że przeżył narodziny w prymitywnych, skansenowych warunkach.

Bimber wartko krążył w żyłach, więc kiedy dotarli do Broku, Patrykowi było naprawdę bardzo wesoło. Brok okazał się raczej większą wioską aniżeli miastem. Zabudowania były przeważnie wiejskie. Po piaszczystych uliczkach jeździły wozy konne. kobiety pracowały na poletkach wśród domów albo w ogródkach. Czasami widać było mężczyzn spieszących gdzieś z widłami lub obsadzonymi na sztorc kosami. Część mieszkańców wyglądała jak Żydzi w charakterystycznych strojach. Patryk miał wrażenie, że wjechał na jakiś wielki plan filmowy pełny ucharakteryzowanych statystów. Tylko ekipy filmowej nigdzie nie było widać.

- Jakieś dziwne to miasto? Wygląda jak wieś. - Powiedział kiedy przejeżdżali koło wysokiego ziemnego kopca, z dużym drewnianym krzyżem umieszczonym na szczycie.

- O panie! Brok to niegdyś było wielkie miasto! Stolica Puszczy Białej i siedziba cechu bartnego. Jedno z większych miast w całym biskupstwie płockim. Ze cztery tysiące ludzi tu żyło ale wojna ze Szwedem je spustoszyła - odezwał się starszy mężczyzna z wąsami. - Potem były zarazy, cholera a w końcu pożary i miasto podupało. Jak to mówią „Był Brok ale wpadł w mrok”. O! Tu co ten kopiec to pochowane jest tysiąc pincet ludzi co na cholere pomarli.

Patryk wzruszył ramionami. Pogrzebał w kieszeni i wyjął telefon. Nadal brak zasięgu. Zaklął. Wszystko to wydało mu się jakieś dziwne. Ci ludzie wyglądający jak z innej epoki, miasto w którym nie widać ani jednego samochodu, brak łączności. Wypity alkohol otępił racjonalne myślenie i w pewnym sensie znieczulił go na położenie w jakim się znalazł ale gdzieś tam w podświadomości jednak przedzierał się załazek niepokoju.

Weszli do niewielkiego, murowanego z czerwonej cegły, kościoła. Wewnątrz czuć było przyjemnych chłód. Janek przyprował księdza proboszcza. Wszyscy z orszaku chrestnych podchodzili i całowali wyciągniętą prawicę księdza, nisko się przy tym kłaniając. Patrykowi cała ta scenka powitalna wydała się na tyle zabawna, że również podszedł i z głośnym cmoknięciem ucałował rękę proboszcza.

Ksiądz odprawił krótką ceremonię chrztu nadając dziecku zgłoszone przez ojca imię Piotr. Kiedy już zakończył zaprosił wszystkich na zakrystię celem odczytania aktu chrztu. Usiadł przy biurku otworzył dużą, oprawioną w niebieską okładkę księgę i zaczął spisywać akt chrztu. Spytał o imię i nazwisko ojca oraz dwóch świadków a także ich zawody i miejsce zamieszkania. Następnie zapytał kiedy i gdzie się urodziło dziecko, jak nazywa się matka i jakie ma nazwisko rodowe. Na większość pytań odpowiadali bez zastanowienia. Jedynie pytania o wiek nastęrczały pewnych problemów. Nie wszyscy potrafili jednoznacznie powiedzieć ile mają lat. Ksiądz tylko machał ręką i wpisywał przybliżone wartości. Matkę chrestną i Patryka spytał tylko o imiona i nazwiska.

- Podpisać się oczywiście żadne z was nie potrafi?
- Jak to nie? Ja potrafię - zgłosił się Patryk.

Wywołał tym poruszenie wśród świadków. Szeptali między sobą i dziwili się że umie pisać.

- Naprawdę umiesz pisać?- spytał ksiądz. - Proszę tutaj podpisać obok mojego podpisu.

Umoczył pióro w kałamarzu z atramentem i podał Patrykowi. Patryk spojrział na podpis księdza. Czarnym atramentem napisane było Antoni Dąbrowski. Obok złożył swój podpis. Ksiądz spojrział z uznaniem i powiedział.

- A teraz odczytam akt zapisany pod numerem sto dwudziestym dziewiątym „*Pilaszewo. Działo się w mieście Broku dnia trzeciego czerwca Tysiąc Osiemset Sześćdziesiątego Trzeciego roku o godzinie dziesiątej rano...*”

Patryk spojrział na księdza szeroko otwartymi oczami. Krew nadbiegła mu do twarzy. Zrobiło mu się gorąco, aż się spocił. „Tysiąc Osiemset Sześćdziesiątego Trzeciego? Czy ja jeszcze śpię?” pomyślał.

- „*Stawił się Jan Badurek - kontynuował ksiądz - lat Trzydzieści Ośm mający gospodarz w Pilaszewie zamieszkały w Obecności Jozefa Równego lat Trzydzieści Dwa i Jozefa Krajzy lat Czterdzieści trzy mających obydwóch gospodarzy w Pilaszewie zamieszkałych i Okazał Nam dziecię Płci męskiej Oświadczając iż takowe zrodzone jest w Pilaszewie na dniu Drugim Czerwca roku bieżącego o godzinie Osmej wieczór z Jego Małżonki Maryanny z Szczechurów lat Trzydzieści mającej Dziecięciu temu na Chrzcie Świętym w dniu dzisiejszym przez Księdza Antoniego Dąbrowskiego Proboszcza Brokowskiego odbytych nadane zostało Imię Piotr a Rodzicami jego Chrzestnymi byli Patryk Dębowski i Julianna Badurek Akt ten Oświadczającemu i Świadkom przeczytany gdy Ci pisać nie umieją przez Nas tylko i Ojca Chrzestnego podpisany został.*”

Patryk patrzył otępiąłym wzrokiem to na proboszcza to na pióro i kałamarz z atramentem. Przyjrzał się jeszcze raz dziwacznym ubiorom świadków, bosym stopom Julianny i zwrócił się do księdza.

- Może mi ksiądz proboszcz jeszcze raz powiedzieć który teraz jest rok?

Proboszcz przez chwilę milczał uważnym wzrokiem lustrując Patryka. Odczytał jeszcze raz z księgi chrztów jakby sam chciał się upewnić

- Tysiąc osiemset sześćdziesiąty trzeci.

Julianna przyglądała się Patrykowi. Patrzył niewidzącym wzrokiem i mamrotał. Zauważyła wyraz zdziwienia na twarzy strach w jego oczach. Ruszył wolnym krokiem kierując się do wyjścia.

- Co mu się stało? Dziwnie się zachowuje ten Twój Patryk - ksiądz Antoni zwrócił się do Julianny. - Skąd on się przybłąkał?

Julianna opowiedziała o nocnej potyczce z Kozakami. Dziwnym wędrowcu i udziale Patryka w walce.

- Ale skąd on się wziął i dlaczego nam pomógł? Tego nie wiem. Nie wypytywałam go.

Tak rozmawiając wyszli za Patrykiem z kościoła, który podbiegł do furmanki. Wziął blaszaną bańkę i pociągnął kilka dużych łyków bimbru zalewając sobie brodę i koszulę.

Julianna z księdzem obserwowali zachowanie niecodziennego przybysza, który podbiegał to w jedną to w drugą stronę rozglądając się po okolicznych zabudowaniach. Coś do siebie mówił. Wyliczał coś na palcach, łapał się za głowę. Dobiały ich urywane słowa Patryka

-... osiemset sześćdziesiąty trzeci... dziwni wieśniacy, skansen, ...

- Julianna słuchaj uważnie co ci powiem - zwrócił się do niej ksiądz Dębowski.
- Jesteś bystra i odważna. Widzisz co tutaj się dzieje. Ludzie zbierają się w uzbrojone gromady i idą lasami w stronę Pilaszewa. Musisz dokładnie zrobić to co ci powiem. Rano był na plebanii kurier od dowódcy wojsk powstańczych. Powiedział mi, że dzisiaj będzie bitwa z rosjanami. W lesie od strony Długosiodła zebrały się oddziały powstańców i są gotowe do natarcia. Liczyli na zaskoczenie jednak w nocy doszło do walk i już od samego rana Kozacy i wojsko carskie uwija się jak w ukropie szykując się do walki. Rosjanie wszczęli alarm i wszyscy stoją pod bronią. Ściągają posiłki. Wszystko koncentruje się w rejonie Pilaszewa.

- O matko jedyna! - wykrzyknęła Julianna. - Nie możemy tam wracać!

- Właśnie odwrotnie. Musicie wrócić i ostrzedz ludzi. Kobiety i dzieci powinny schronić się w lesie a wszyscy zdolni do walki mężczyźni niech łapią co niebądź i będą gotowi do boju. - Posłuchaj mnie, ten tutaj - wskazał na Patryka. - Myślę że to jest kolejarz. Kurier mówił, że dzisiaj nad ranem powstańcy znaleźli przy trakcie białostockim dziwny pojazd. Coś jakby lokomobil ale mały, z cieniutkiej blachy, błyszczący i na gumowych kółkach. Myślę że on ma coś z tym wspólnego.

Dziewczyna przysłuchiwała się przygryzając paznokcie.

- Zobacz jak on jest ubrany - zwrócił uwagę duchowny. - Ma strój podobny do kolejowego. Tak że to jest na pewno wykształcony człowiek, obyty. On Ci pomoże zebrać ludzi i zorganizować do bitwy. Ruszajcie. Nie zwlekajcie już dłużej.

Włościanie rzucili się do wozu sposobiąc się do odjazdu. Julianna ciągnęła za rękaw zdezorientowanego Patryka i niemal siłą wepchnęła go na wóz. Usadowiła się obok niego. Spojrzył na nią szklistym wzrokiem z szeroko otwartymi oczami wyjąkał

- Tysiąc osiemset sześćdziesiąty trzeci.

Julianna zaśmiała się serdecznie i pogłaskała go po głowie.

- Brawo Dan! Wypełniłeś misję treningową. - poinformował system gry. - Wychodzisz czy grasz dalej?
- Gram dalej.
- Wróć do rozgrywki i wypełnij zadanie. Musisz naprawić błąd gry. Dodatkowo dostajesz nową broń. Obręcze z blasterem ognia.

Dan przeanalizował wytyczne misji i rozpoczął materializację.

Patryk kilka razy był widzem rekonstrukcji bitew historycznych i zawsze śmieszyły go pozorowane walki pomiędzy stronami. Zabawne było wywijanie szablami i udawana śmierć inscenizatorów. Czasami kolorytu dodawały szarże konne oraz strzały z prochowców i zabytkowych armatek. Jednak to na co patrzył wyglądało jak wielka doskonale zorganizowana inscenizacja bitwy z tysiącami uczestników. Trwająca od kilku godzin walka miała cechy doskonale zorganizowanej bitwy, profesjonalnie dowodzonej. Co jakiś czas do boju rzucane były nowe zastępy z jednej lub drugiej strony. Szarże, ataki, pojedynki. Wszystko by wyglądało jak inscenizacja gdyby nie to, że je uczestnicy naprawdę padali rażeni prawdziwymi kulami lub powaleni śmiertelnymi razami broni siecznej. Podczas rekonstrukcji militarnej jej uczestnicy w ciszy walczą i w ciszy przewracają się umierając na niby. To co Patryk oglądał i w czym uczestniczył odbywało się w dzikim wrzasku i huku broni palnej. Krzyki walczących mieszały się z okropnym kwikiem koni. Ranni wyli z bólu a zabici padali w objęcia prawdziwej śmierci.

- Komendancie! - Julianna wrzasnęła mu prosto do ucha, przekrzykując huk wystrzałów. - Kozioł, Sobieski i dwaj Stelmaszczykowie zgłaszają się do akcji. Kozacy zabarykadowali się w ich chałupach. Trzeba je podpalić i wykurzyć wrogów ogniem. Jak wyjdą, wystrzelamy jak kaczki i wytniemy do nogi.

Namolna dziewczucha! To ona wciągnęła go w tą całą awanturę. Nie miał zamiaru być żadnym komendantem. To właśnie ona podczas powrotu z Broku zbierała tych wszystkich błakających się po leśnych duktach, uzbrojonych w kosy, widły, drągi, siekiery i samopały włościan i ich parobków. Wmawiała im, że Patryk jest jakimś kolejarzem i rząd go przysłał jako dowódcę. Rzekomo miał zebrać w kupy okolicznych mieszkańców i wesprzeć w boju powstańców z Powstania Styczniowego w jakiejś wielkiej bitwie którą szykowali w tym rejonie. Boże! Jak te kobiety potrafią uwikłać człowieka. Wypierał się, że żadnym komendantem nie jest i nie będzie zachęcał włościan do pomocy w bitwie ale oczywiście musiała mu wejść na ambicję.

- Jeśli tchórzysz to tam schowaj w krzaki i siedź jak baba. - Wypaliła wtedy z tym swoim uroczym uśmiechem wskazując na kępę chaszcy przy leśnym dukcie. - A my pójdziemy walczyć i zginiemy za Polskę i za wolność.

Może gdyby nie pił tego bimbru i nie miał tej głupiej męskiej dumy, siedziałby sobie teraz spokojnie w lesie i czekał na mgłę która go tak samo cudownie przeniesie w jego czasy. Ale nie! Musiał się postawić. Musiał udowodnić, że żadna dziewczyna nie będzie go nazywała tchórzem!

Sam już nie wie jak to się dalej potoczyło, że nagle stał na pędzącej furmance, w rozchełstanej koszuli wymachując szablą i śpiewając Bogurodnicę i "Boże coś Polskę". Wrzeszczał - Do boju rodacy! Za mną! Na ruska! Bij, zabij! A za nim cała zgraja ludzi z krzykiem i śpiewem pędziła przez las wprost do Pilaszewa skąd już dochodziły odgłosy wystrzałów i szczęk żelaza.

Spojrzał w rozpalone oblicze Julianny. Wkręciła mnie w dowodzenie oddziałami włościan i jeszcze mi wrzeszczy do ucha i podpowiada jakieś szalone rozwiązania! Cała walna bitwa już dogorywała. Po rozbiciu Rosjan główne siły powstańcze wycofywały się w stronę rzeki Bug. Podczas bitwy Patryk kilkakrotnie rzucał swoich włościan do boju na tyły wroga powodując dezorientację w ich szeregach i siekąc ich niemiłosiernie. Nacieli w ten sposób wielu. Na koniec okrążyli resztę uciekających Kozaków, którzy zabarykadowali się w zabudowaniach wiejskich i ostrzeliwali się, krwawo odpierając dwa ostatnie szturmy.

- Sam wiem co mam robić! Właśnie taki miałem zamiar! Rotmistrz Baranowski i Maślanka niech pozorują atak a Kozioł, Sobieski i dwaj Stelmaszczykowie w tym czasie niech przekradną się po opłotkach i podłożą ogień pod zabudowania. - wykrzyczał Patryk.

- Ty już wracasz do domu chłopaku - usłyszał głos.

Usłyszał? Czy na pewno? Nikt nic nie mówił a ten głos doszedł do jego głowy. Do jego świadomości. Odwrócił się i zobaczył stojącego tuż za nim wielkiego dziada z brodą, którego już widział podczas walki w domu Julianny.

- Schowaj się bo dostaniesz kulkę! Zginiesz! - Krzyknął Patryk, ale dziad nie zareagował tylko się uśmiechał.

Z zabudowań padły strzały jednak kule z brzękiem odbijały się od dziada, zupełnie jakby otoczony był niewidzialną kuloodporną powłoką.

Brodaty wyciągnął rękę w stronę lasu skąd po pewnym czasie galopem wbiegł koń i ryjąc kopytami ziemię zatrzymał się tuż przed nim. Z miejsca, bez rozbiegu, nawet nie uginając nóg w kolanach dziad wystrzelił w górę i znalazł się w siodle. Znowu wyciągnął rękę tym razem w kierunku Patryka i powiedział.

- Chodź ze mną. Muszę cię odstawić na miejsce.

Patryk skrępowany niewidzialną siłą, nie mogąc ruszać ani rękami ani nogami został uniesiony i znalazł się w siodle przed dziadem.

- Na jakie miejsce chcesz mnie odstawić? Zostaw! Co robisz! Musimy spalić zabudowania wraz z Kozakami. Kozioł, Sobieski i dwaj Stelmaszczykowie szykują się do akcji! - Opierał się wściekły Patryk.

- Rozwalić ci te chałupy? Proszę bardzo! - Dziad obrócił konia bokiem do zabudowań wyciągnął rękę i z bransolety opasującej przegub wystrzelił kilka

razy kulami ognia które dosłownie rozsadziły w drobny mak drewniane domy, wzbijając ogromny grzyb ognia i dymu. To samo powtórzył z dwoma pozostałymi domami i z uśmiechem popędził konia w stronę lasu.

Patryk jeszcze patrzył za oddalającą się grupą „swoich” powstańców, na czele których w blasku ognia stała z Julianna.

Pędzili teraz nienaturalnie szybko jak na jazdę konną. Zbliżali się do ściany lasu. Przed nimi pojawił się tunel w rażąco niebieskiej poświacie. Rozpędzony koń wskoczył w tunel i wylądował tuż przed samochodem Patryka, który leżał tam gdzie go zostawił poprzedniej nocy.

Dan zeskoczył z konia. Przeniósł swoją mocą Patryka na ziemię.

- Wyczyść mu pamięć i wyślij go z powrotem w jego czasy - zakomunikował system gry.

- Wskakuj chłopaku. - Dan wrzucił Patryka do samochodu przez otwór po przedniej szybie. Wydał komendę przenoszenia obiektu w czasie.

- Wyczyść mu pamięć ! - system ponownie zaalarmował!

Nastąpił rozbłysk i samochód wraz z pasażerem zniknął.

- Cichaj mi tu!- mruknął do systemu gry Dan i wyłączył się z misji.

- Dostajesz bana na dwie godziny! - poinformował system gry.

- Super! Idę grać w piłkę z chłopakami. - wstał i pobiegł do wiatrołapu założyć buty.

- Panie! Panie! Żyjesz Pan? - mężczyzna z wąsami o pulchnej, okrągłej twarzy pochylał się nad Patrykiem i potrząsał go za ramię.

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku - z trudem odpowiedział Patryk.

Wstał i rozejrzał się dookoła. Jego samochód leżał w rowie kołami do góry a przy jezdni stało kilka samochodów z włączonymi światłami awaryjnymi. Wokół niego zebrała się grupka ludzi spieszących z pomocą.

- Zjechał z trasy. Dachował. To cud, że nic mu się nie stało. Tylko trochę jest podrapany i ma podarte ubrania. - komentowali.

- Może mieć obrażenia wewnętrzne - odezwał się jeden z nich.

- Panie usiądź Pan. Zadzwonimy po karetkę. Powinni Pana zbadać. - odezwał się ten sam mężczyzna który go cucił.

- Muszę coś sprawdzić.

Patryk wyjął telefon i wpisał w Wikipedii hasło „bitwa pod Pilaszewem”. Prześledził tekst. Jego uwagę przykuło informacja o tym Koziół, Sobieski i dwaj Stelmaszczykowie spalili swoje zabudowania i spłonęli w płomieniach. Ich zwłoki pochowano wraz ze stu kilkudziesięcioma mieszkańcami w zbiorowej mogile.

- Ale oni nie zginęli - mruknął. - Widziałem ich jak stali gotowi do akcji. Oni nie zginęli! - Wykrzyknął Patryk i objął z radości osłupiałego mężczyznę z wąsem.